

CZUJ DUCH!

1924



archiwum



POZNAŃ

MIESIĘCZNIK MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ

STYCZEŃ

Bernard Chrzanowski.

Na Bielanach — pod Warszawą.

W kącie pod białą ścianą kościoła, przy dotykającym do niej murze, samotny grób. Na kamiennej płycie napis: Stanisław Staszic, ur. 1755, um. 20 stycznia 1826 r.; powyżej drugi napis: Towarzystwo Rolnicze Hrubieszowskie Swemu Założycielowi 1876; Patrzy na nas skromna podobizna zmarłego. Cisza; świeci jasno jesienne słońce; wysokie, smukłe klony już cienia nie rzucają; wokoło na ziemi wszędzie liście, duże, złote liście, gęstym, grubym bardzo leżą kobiercem, grób cały przykrywają. O kilkadziesiąt kroków wprost wzgórze opada; dobrze tu usiąść do gawędy; na stoku dęby, lipy, akacje, sosny; w dole przy drodze topole; a za nią Wisła, cicha, lustrzana, świetlana, szeroka jak olbrzymie wydłużone jezioro; żółcą się piaszczyste łąchy; za nią równie, łąki i uprawne pola; w przeczystym, przejrzystym powietrzu rysują się wyraźnie dalekie białe domostwa, świeża zieleń ozimin, nikła czerwień dachów. Cisza i pustka jak dziś na całej drodze z Marymontu, jak w całym lasku.

*
*
*

A jednak wtedy, gdy Staszicowe zwłoki wzięto było na tej cichej, dalekiej drodze bardzo ludno. Mimo mroźny dzień wszystkie klasy ludności, wszyscy mieszkańcy stolicy spieszyli tłumnie oddać ostatnią cześć zmarłemu. Wszystkie biura pozamykano, sklepy odbieżano, nikt prawie nie został w domu. Z gmachu Towarzystwa Przyjaciół Nauk, gdzie ciało było złożone, wynieśli trumnę współtowarzysze zmarłego. U drzwi porwała trumnę młodzież akademicka i już jej sobie odebrać nie dała, chociaż w ciągu drogi ubijali się o to wielokrotnie — młodzież szkoły politechnicznej, cechy, stan kupiecki, urzędnicy i inni. Garnizon warszawski nie zdołał utrzymać porządku w szeregach i zmie-

szawszy się z tłumem odprowadził ciało do grobu. Przy spuszczeniu zwłok rzucono się na trumnę i rozerwano z niej ozdoby i całun na pamiątkę.¹⁾

Tak oddawano hołd tej woli, która chciała być tak oszczędną i temu sercu, które umiało być tak ofiarne.

Żył bowiem Staszic, jeden z najwyższych urzędników kraju, sam dla siebie jak skąpiec; mieszkał w dwóch pokojach w oficynie; za ubranie służył mu jeden i zawsze ten sam wytarty czarny frak; rosół i kawałek mięsa był całym jego obiadem; prócz wody nic innego nie pijał; u siebie nikogo nie przyjmował; do teatru, który lubił, chodził na najtańsze miejsce na najwyższym piętrze z głową obwiązaną chustką, aby go nie poznano.²⁾

Dla narodu swego żył za to Staszic tak hojnie, jak najzamożniejszy i najhojniejszy z wielkich panów. Dla stworzonego przez siebie Towarzystwa Przyjaciół Nauk najmuje dom na kanonikach i urządza go własnym kosztem na posiedzenie publiczne; wzbogaca zbiory własną biblioteką i gabinetem rzeczy przyrodniczych, ofiaruje sumy potrzebne na nakłady druków Towarzystwa, przeznacza dochody z własnych dzieł na jego korzyść; ofiaruje dlań nakoniec wspaniały gmach, w końcu Krakowskiego Przedmieścia, niedaleko kościoła Św. Krzyża. Przed gmachem tym staje staraniem Staszica posąg Kopernika; na jego ustawienie przekazał w testamencie 70 000 zł. pol. Wspiera pokryjomu młodzież utalentowaną a dobrych obyczajów tak, że o tem nie wiedzieli ci nawet, którzy dobrodziejstwa jego doświadczali. Całe swe olbrzymie, z oszczędności

¹⁾ Podług Władysława Zawadzkiego — Stanisław Staszic, Lwów, 1860 r. str. 56—57.

²⁾ Tamże str. 53.

nabyte dobra Hrubieszowskie, zapisuje za życia na korzyść włościan tamtejszych, organizując ich w „Towarzystwo rolnicze wzajemnej pomocy”. Wszystkie swe kapitały, majątek około sześciu milionów wartości, zapisuje testamentem na cele dobroczynne.”)

A wszystko to zebrał sam, nie odziedziczył nic i nic z tego co uskładał, nie biorąc dla siebie; wszystko zaoszczędził, odejmując sobie strawy od ust, żadnej sobie groszem nie sprawiając przyjemności; pisze bowiem w autobiografii: „...nie znajduje człowieka przyjemniejszych dla serca swego uczuć, jak w dobroczynności; nie dopełnia wierniej celu Stwórcy swojego, jak gdy przez ciąg życia całego przyczynia się do szczęścia drugich”.

Dając tak Polakom życiem swym przykład oszczędności, wołał o nią nieustannie i wszędzie także i słowem łącząc ją, — aby nie bogacił obcych, zagranicę — z tworzeniem własnego przemysłu. Wołał więc do niewiast: „Taż uboga ojczyzna niszczy się, gdy was w jedwabie, w drogim kamieniu, w srebro i złoto stroi. Tylko sukno i płótno ma swoje własne. Przez miłość tak nieszczęśliwego kraju, z tych sobie... stroje utwórzcie”.) Wołał dalej do mężów: „...od obcych kupujemy wszystkie narzędzia żelazne rolnicze...; nawet i ten oręż do oswobodzenia, do obrony tak nam drogiej... ojców ziemi, mamy tylko z cudzej ręki, chociaż dobroczynna natura, jak męstwo naszym sercom, tak wszystko co męstwu potrzeba, szczerze

3) Tamże str. 23, 40, 53.

4) Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego — Kraków 1801. str. 106—107.

dała naszej ziemi”.) Zakładajcie więc własne kopalnie i fabryki!

Prócz tej namiętności oszczędzania, żądzy zbierania grosza dla — dla bliźnich, na cele społeczne i oświatowe przesładowała go w życiu inna jeszcze namiętność — samolubna, żądza żywienia swego wzroku patrzeniem na krasę przyrody. Ona to bowiem bezwzięcia, a nie sam tylko zamiar poznania geologicznego układu gór, pognęła go, jednego z najpierwszych, na szczyty tatrzańskich wierzchołów, ona go zapędzała w chwili wolnej, ukradzionej pracy, do lasu dębów i sosen na bielańskie wzgórza; ona też napisała w testamentie zlecenie pochowania go tam przy kościele, w ziemi.

Lubił ten widok na Wisłę i dalekie pola prawego jej brzegu; patrzył na niego zapewne także z okien domu Towarzystwa Przyjaciół Nauk.) Myśl, że śmierć mu ten widok zabierze, napełniała go — jak wielu ludzi miłujących przyrodę — smutkiem i żalem; chciał więc zabrać ze sobą tę drugą swoją życiową radość po za grób. Wierzył widocznie, że duch jego przychodzić będzie tam, gdzie jego zwłoki; nie zlecił jednak pochować ich w Hrubieszowie, aby widzieć szczęście uszczęśliwionych przez siebie ludzi, lecz na Bielanach, aby patrzeć z po nad grobu na Wisłę i zawiślańską równinę. —

Literatura dla drużynowego prowadzącego wycieczkę: Władysław Zawadzki Stanisław Staszic Lwów 1860, oraz nowsze książeczki o Staszicu — Marjana Reitera — Wydawnictwo Macierzy — Lwów i Kamilli Chołoniewskiej — Wydawn. Arcta — Warszawa.

5) Z przemówień na posiedz. T. P. N. — 2. 1. 1812 cyt. u Zawadzkiego, str. 41.

6) — na Dziekanec za Kościołem św. Jana w Warszawie.

O powodzenie w pracy zawodowej.

Chcąc zapewnić szczęśliwy rozwój naszej Rzeczypospolitej, nie wystarczy pracować nad rozwojem naszych dróg żelaznych i wodnych, uprawą roli, eksploatacją kopalń i podniesieniem przemysłu i handlu.

Przedewszystkiem trzeba należyście zużytkować wszystkie zalety naszej rasy, skierowując każde dziecko do takiego zawodu, w którym mogłoby ono najlepiej zastosować swoje zdolności i dać z siebie maximum korzyści dla państwa.

Gdyby Polacy byli odpowiednio wychowywani, staliby się prędko najwybitniejszym narodem świata.

Jest rzeczą stwierdzoną, że na sto osób pracujących w jakimkolwiek zawodzie, mniej więcej dwie pracują w sposób wyróżniający się, dwadzieścia znośnie, a wszyscy inni lepiejby zrobili, gdyby obrali inny zawód.

Ucz się pracować, ucz się też uczyć. Ucz się poznawać samego siebie.

Obierz zawód odpowiadający twoim zamiłowaniom i zdolnościom, zawód — któremu oddasz wszystkie swoje siły, całą inteligencję, całą duszę.

Odkryjesz wtedy tajemnicę szczęścia.

W państwie naszym udałoby się osiągnąć niezwykły postęp we wszystkich dziedzinach, gdybyśmy nareszcie zrozumieli, że byle kto nie może być powołany do każdej pracy.

Nic nie jest miłsze nad widok człowieka na właściwym miejscu i w odpowiednim zawodzie.

Jakże przyjemnie byłoby żyć na ziemi, gdyby każdy człowiek znajdował się na właściwym stanowisku.

Dzieci i młodzi ludzie tak ulegają modzie w wyborze zawodu, jak kobiety w wyborze sukni.

Zdrowie jest największym skarbem.

Nie obieraj zawodu, który niszczy zdrowie lub zwiększa ułomności cielesne.

Z punktu widzenia społecznego drugorzędą jest rzeczą, jakie miejsce zajmuje człowiek w świecie; ważnem natomiast jest, by miejsce to było całkowicie wypełnione.

Prawie wszystkie tragiczne omyłki popełniane przy wyborze zawodu pochodzą stąd, że młody człowiek ma zbyt dobre zdanie o sobie, a zbyt niedokładne pojęcie o obieranym zawodzie.

Manja hazardu ujawnia się nawet w wyborze zawodu.

Lepiej być dobrym kowalem, niż złym inżynierem.

Wielu jest leniuchów między tymi, którzy mają dłonie stwardniałe, jak również wielu jest wielkich pracowników z rękoma bardzo delikatnymi.

We wszystkich ważnych sprawach zastanawiaj się długo, zważ wszystkie „za” i „przeciw”, pomyśl jeszcze, potem dopiero wykonaj.

Pamiętaj, że jedną z najważniejszych spraw jest obranie i doskonale poznanie zawodu, który da tobie możliwość życia, a pewnego dnia i twojej rodzinie.

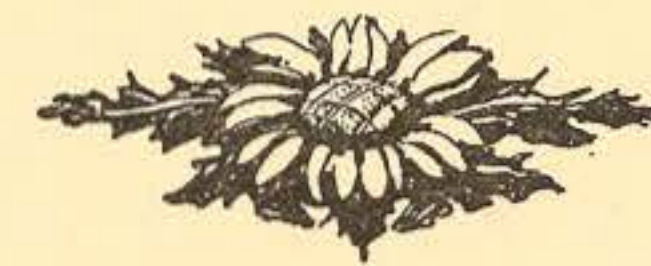
Poradz się ludzi, którzy własną pracą stworzyli sobie byt niezależny. Znajdziesz ich zawsze pomiędzy tymi, którzy gorąco kochają swój zawód.

Nie unikaj tego, co nakazuje ci sumienie. Nie rób niczego, co byłoby przeciwne głosowi sumienia, co zmuszałoby cię do stałych wyrzutów o każdej godzinie dnia i nocy.

Myśli powyższe wybrano z Prac inż. F. Maurezin'a i spolszczono, dając jako wstęp do dalszych, praktycznych rozważań nad środkami osiągnięcia powodzenia w pracy zawodowej — o czem w następnym numerze.

(C. D. N.)

Henryk Glass.



Duński „Spejderkorps”.

Zdobywanie środków. Propaganda.

Miałem szczęście móc spędzić drugą połowę sierpnia i pierwszą września roku ubiegłego w Danji. Rzecz oczywista, że na podróż do kraju, mającego za kilka miesięcy gościć międzynarodowy zlot skautowy, uzbroidłem się w oficjalne papiery naszego Związku Harcerstwa, aby mieć prawo wglądu w duńskie życie harcerskie. Wielcy mężowie naszej Głównej Kwatery dali mi nietylko odpowiednie „paszport” harcerski, lecz i ważną przestrożę. Wolno mi było przyrzec się jedynie wymienionemu w tytule „Korpusowi Skautowemu”, a, broń Boże, niektoś z dwóch innych organizacji skautowych. Pod jaką karą? Tu wystarczyło groźne imię Mr. H. S. Martina, International Commissioner w Londynie, (prawej ręki samego dziadzia Baden-Powella!) dbającego, ze srogością niewzruszoną, o ład i porządek w harcerskich stosunkach międzynarodowych. Miałem dość. Z Mr. Martinem chcę żyć w zgodzie póki życia.

Zadanie moje było ułatwione dzięki wyrobionym już od lat dwudziestu stosunkom z Danją i znajomości języka. Co więcej, na Międzynarodowej Konferencji Skautowej w Paryżu, w roku zaprzyszłym, miałem być sposobność zapoznać się ze Skautem Naczelnym wymienionej organizacji duńskiej, rotmistrzem C. Lembcke, oraz z naczelniczką wilczą (za przykładem Anglii, wilczęta powierzono i w Danji przeważnie niewiastom). Gdym zatem zajął do Głównej Kwatery, pomieszczonej w centrum Kopenhagi, powitano mnie jak starego przyjaciela, zawstydzając prosto dowodami gościnności i uprzejmości, w której nam trudno będzie sprostać tym zacnym wyspiarzom.

Moja obawa, że poznam tylko ułamek życia skautowego nieznaczny, zmniejszyła się na widok cyfr statystycznych. Dumniśmy na nasze trzecie miejsce wśród skautów świata pod względem liczby bezwzględnej harcerzy. Ależ nasze 40 000 chłopców, to bardzo mało wobec 5000 z górą w jednej (i to nie najliczniejszej) z trzech organizacji duńskich, gdy się zważy stosunek do ogółu ludności w Państwie, tam dwu, u nas zaś dwudziesto-

ośmiomilionowej. A pozatem jakoś obiecywała wiele, gdy się znało wspaniałe owoce pracy Duńczyków na tyłu innych polach, a w szczególności w dziedzinie wychowania. Bliskość Anglii i ułatwione z nią stosunki, dzięki dobrej walucie, to też wielki atut w ręku naszych druhów duńskich.

Te przewidywania nie zawiodły mnie. Widziałem rzeczy w wysokim stopniu pouczające dla naszych harcerzy i zrozumiałem przyczynę, dla której ten mały, lecz dzielny nad wyraz kraik wybrano za miejsce tegorocznego przeglądu światowego. Mr. Martin i dziadzio Baden-Powell wiedzieli, co czynią. Poniżej nie będę mógł wyzyskać znaczniejszej części przywiezionych materiałów i wspomnień. Ograniczę się jedynie do rzeczy, które mi się wydały najbardziej cechującymi i godnymi naśladowania.

Zaczną bardzo prozaicznie — od podstawy finansowej całego ruchu. To nietylko będzie zgodne z duchem czasu, lecz odpowie pierwszemu wrażeniu, jakie uderza cudzoziemca, zwiedzającego Główną Kwaterę kopenhaską. Nie wiesz, czyś dobrze trafił. Sklep, czy lokal organizacji? Wydaje się nawet, że raczej sklep (oczywiście z przyborami skautowemi), a te skromne pokoje tylne, to przyległy kantor... Ale to wszystko świadczy tylko o wspaniałym zmyśle praktycznym Duńczyka. Zamiast naszych K. D. H., wiecznie i tak słusznie krytykowanych, tu widzimy towarzystwo akcyjne pod nazwą „Domu obozowego i skautowego”, prosperujące dobrze i dające solidną podstawę całej robocie, Skaut zaś Naczelny jest zarazem jego dyrektorem. Nieco z takiego ducha kupieckiego przydałoby się niewątpliwie i u nas. Jakże widziałem przepyszne okazy wyposażenia skautowego, nie chcę opisywać, aby nie wzbudzać zbytnej zazdrości szczegółami, na które nie tak prędko się będziemy mogli zdobyć. Dość wspomnieć, że nie brak tam niczego z ziemskich skarbow, jakich może zapragnąć dusza harcerska.

Za tym przykładem zapobiegliwości, jaki daje Główna Kwatera, idą też i niższe szczeble organizacji. Miałem

sposobność przypatrzeć się jednemu z przedsięwzięć, urządzonych przez Dywizję (Hufiec) kopenhaską i musiałem uchylić czoła przed pomysłowością i obrotnością aranżerów tej imprezy. Był to festyn harcerski, urządzony we wspaniałym ogrodzie Tivoli, znajdującym się w samym centrum miasta, a przeciągający się od g. 5-tej popołudniu do północy. Tłumy publiczności przepełniały olbrzymi ogród, przyglądając się to popisom wilczków, to defiladzie hufca, wiosce Zulusów, obozowi harcerskiemu, to rozlicznym pantonimom, śpiewom, komicznej gimnastyce, a nawet „operze ludożerczej”, wreszcie korowodowi z pochodniami i ogniom sztucznym. Wszystko to urzędzone środkami prostymi i owiane przepysznym humorem harcerskim, udzielającym się nie tylko obecnej młodzieży i młodzieży, ale i starszym, tak, że stanowi pierwszorzędny środek agitacyjny, obok znakomitego zasilenia kasy.

Uroczystość nie obyła się bez wieczornicy w jednym z pięknych pawilonów parku. Harcerza polskiego mogło razić tu i ówdzie „wonne” cygarzysko w ustach biesiadnika, jak również obecność napojów alkoholowych. Ale ma to i dobrą stronę, bo nam przypomina, że posiadamy w naszym Harcerstwie szczegóły, na które powinniśmy być dumni, jako pionierzy udoskonalenia ruchu tego w pewnych kierunkach. Poza to, atmosfera miła, prawdziwie bratnia. Swobodna pogawędka, urozmaicona śpiewem druhen i grą na mandolinach, przeciągała się długo w noc. Miłą okrasą takich zebrań w Skandynawji wogóle, lecz przedewszystkiem w Danji, bywa dla przybysza z Polski szczerą sympatją Duńczyków dla naszych



Złoty Narodowy 1924 r.

3 lipiec 1924 r. zbliża się olbrzymimi krokami, a oto już rozkazy Naczelnictwa, ogłoszone w num. 11 i 12 „Wiadomości Urzędowych” dają cały szereg informacji o Zlocie. Tak więc już przed 1 lutym należy nadsyłać do przełożonej Komendy Chorągwi zgłoszenia na Złoty, według formularza, który ogłoszony będzie w „Wiadomościach Urzędowych”. Czasu już bardzo niewiele, drużyny muszą się już ostatecznie zdecydować, czy jadą na Złoty czy nie, choć przyznam się Wam czytelnicy, że wątpię, czy znajdzie się w Rzeczypospolitej chociaż jedna taka drużyna, która sobie powie — nie jedziemy! — Jada wszyscy — wszyscy zakasują rękawy i biorą się do pracy. Jak dochodzą wieści z różnych stron, ta przygotowawcza praca już się rozpoczęła.

Naprzekąd Chorągiew Lwowska ogłosiła wewnętrzne zawody przedzłotowe i te tylko drużyny, które zwycięsko wyjdą z tych zawodów, będą mogły wziąć udział w Zlocie — prywatnie zaś słyszałem, że Chor. Lwowska ma przybyć na Złoty własnym pociągami w pełnym wyekwipowaniu i z całkowitem zaprowiantowaniem. Z innych środowisk brak mi niestety wieści, ale nie wątpię, że i gdzieś indziej praca wre.

W rozkazie l. 28 Naczelnictwa ogłoszono zawody i konkursy przedzłotowe i na samym Zlocie — a wiecie, ile ich jest? — 23 konkursy. Jest więc gdzie pokazać, co umiecie. Niektóre konkursy są bardzo interesujące — i warto się pokusić o zdobycie nagrody, naprzykład czy nie dobrze było, druhu,

uczuc i dążeń narodowych i znajomość niezwykła naszych dziejów i spraw. Zmuszono mnie toastem serdecznym na cześć Polski do przemówienia. Oczywiście, że wyzyskałem tę okazję dla propagandy na rzecz wycieczek duńskich harcerzy do Polski, zwracając uwagę na nasze pasma górskie, oraz na puszcę Białowieską i t. p., jako osobliwości, którym podobnych Duńczyk nie posiada we własnym kraju.

Korzystając z obecności wielu drużynowych, zagadnałem ich o metody finansowania drużyn. Dowiedziałem się rzeczy niemiłej ciekawych, jak te, które poprzednio podniosłem co do Kwatery Głównej i hufców. I tu nie oglądając się harcmistrze, ani zastępowi (bo i zastępy posiadają swe kasy) na Rząd, ani na łaskawych ofiarodawców. Są zato niewyczerpani w stosowaniu źródeł dochodów, które nam częstokroć nie przyszłyby na myśl. I tak, drużyny szkolne wykonywają znaczną część robót, potrzebnych dla dobra szkoły (niwelacja, porządkowanie przed i po uroczystościach, popisach etc., bufet przy takichże okazjach) i zgarniają do kasy drużyny, lub zastępu, odpowiednie dochody. Gdy zaś porosną w pierze, fundują sobie... samochód drużyny, naturalnie Forda i zarabiają nim dalej, ogłaszając w dziennikach lekcje sztuki szoferskiej. To tylko parę przykładów z tysiąca. A jak się potrafią, za zebrań w ten sposób forsę zagospodarować, o to mnie już nie pytajcie. Dość powiedzieć, że słinka napływa na widok tych wspaniałości.

Ale o tem, jak wogóle o pracy harcerskiej, pomówimy następnym razem.

gdyby tak Twoja drużyna uzyskała tytuł Pierwszej Drużyny Harcerskiej Rzeczypospolitej, otrzymując jako oznakę Związkowy Proporzec, albo gdyby tak drużyna zwyciężyła w konkursie największej pomysłowości w grach ruchowych lub w konkursie za najlepsze stałe przedsięwzięcie zarobkowe itd. — a nadto warto się postarać o nagrody w szeregu konkursów, które rozstrzygnięte będą na naszym Zlocie, naprzykład najbardziej samodzielne urządzenie się drużyny na Zlocie; służba pożyteczna dla całego Złotu, zawody śpiewacze, taneczne, grąjków i t. d. Widzicie więc, że pola do pracy nie brak, opisałbym Wam chętnie bliżej te zawody, poinformowałbym Was jeszcze o tem, jak to w Warszawie tworzy się Wielki Komitet Złotowy, który zajmie się organizacją Złotu w szczegółach i propagandą złoty w starszym społeczeństwie, opisałbym Wam jeszcze, jak to teraz w Naczelnictwie i Głównych Kwaterach na wszystkich ustach słychać aż do znudzenia „Złoty i Złoty i jeszcze raz Złoty” — opisałbym Wam, jak to niektórzy druhowie tak się przejmują Złotem, że już teraz sypiać nie mogą, a co to będzie w czerwcu... opisałbym Wam jeszcze wiele rzeczy, ale o tem — potem — i tak druha redaktor już się krzywi.) Do roboty więc — Na Złoty! L. G.

*) Przepraszam. Bynajmniej! Nawet prosi o dalsze dłuższe opisy, bo oczywiście i sam i z całą redakcją na Złoty się wybiera. Przep. redakcji.

Nieudany nocleg Wieloryba.

(Z konkursowych obrazków harcerskich.)

W czasie mej całomiesięcznej samotnej wędrówki w ciągu ubiegłego lata po południowo-zachodniej Polsce zdarzyła mi się dość nieprzyjemna przygoda, którą Wam tutaj, Druhowie, opowiem. Pewnego wieczora, po męczącym, prawie pięćdziesięciokilometrowym marszu przybyłem do wioski góralskiej (było to na Podhalu), która, była celem mej tygodniowej wędrówki. Był już dość późny wieczór, to też nie szły mi łatwo poszukiwania noclegu. Do karczmy przyjął mnie nie chętno, gdyż mieszkali w niej jacyś letnicy, po chałupach zaś górale już spali i nie można się ich było dobudzić.

Gdy już mnie zaczynało ogarniać zniechęcenie, czy uda mi się wogóle nocleg dostać, natknąłem się niespodziewanie na jakiegoś starego górala, który przybliżył się do mnie i poznając we mnie turystę niepytany oświadczył, że gotów jest mnie zaprowadzić na nocleg.

Z propozycji tej skorzystałem oczywiście skwapliwie, choć stary już od pierwszego wejścia mi się nie spodobał. Jego mała, pomarszczona, opalona prawie na brunatno twarz, o niespokojnych, latających oczach i ostrym, krogulczym profilem, nadawała mu jakiś drapieżny i zuchwały wykład, — dziwnie nie licujący z mową, w której uderzała uniżoność i przesadna uprzejmość oraz z nędznym i obszarpanym ubiorem, złożonym z pogniecionego melonika, z pod którego wydobylały się kosmyki szpakowatych włosów, czarnego, „miastowego” paltka o aksamitnym kołnierzu, włożonego wprost na koszulę, aż szara z brudu, i białych góralskich „portek”. u dołu postrzępionych i ukazujących od połowy łydek chude, gołe nogi, oblepione grubą warstwą zeschniętego błota.

Wziął mnie poufale pod łokieć i stękając i kuśtykając powiół się obok mnie, prowadząc wzdłuż wioskowej drogi. Był dziwnie gadatliwy. Ponieważ byłem zmęczony i śpiący i zgola nie skłonny do gawędki, mój przewodnik miał sposobność do niczem nieskrepowanego monologowania. Zaczął najpierw niezwykłe kwiecieńskie i barwne opowiadać o zaletach noclegu, na który ma mnie zamiar zaprowadzić, następnie poprzez krótką serję obojętnych uwag na nieobchodzące ani mnie ani jego tematy przeszedł do opowiadań o swojej własnej osobie. Ze szczególnym upodobaniem zaczął się rozwodzić nad swoją kryształową uczciwością i rzetelnością. Przytoczył parę apokryficznych przypowieści ze swego żywota (o dziesięciu reńskich, których, gdy znalazł je przed wojną, nie ośmielił się użyć na swe prywatne cele wcześniej jak po upływie roku, gdy się już bez wszelkich wątpliwości wyjaśniło, że się ich właściciel nie znajdzie), oświadczył, że zadaje się jedynie z ludźmi równie jak on uczciwymi i zakonkludował wreszcie dosyć nieoczekiwanie, że może być zupełnie pewnym, iż nikt mnie nie okradnie na tym noclegu, na który on mnie zaprowadzi.

Chociaż byłem senny i niezbyt uważnie słuchałem jego opowiadań, wywnioskowałem z nich odrazu, że z jednej strony musi mu na skorzystaniu przeczemnie z jego noclegu zależeć, że po drugie nie musi być ten nocleg zbyt pewny i bezpieczny, skoro mój przewodnik tak się z góry sumituje i stara me ewentualne obawy i podejrzenia usunąć.

Ponieważ zasadniczo nie lubię zmieniać raz powziętych projektów, po wtóre nie myślałem o niczem innym jak o jak najprędszym ułożeniu się do snu, a więc nie zamierzałem rozpoczynać nowych uciążliwych poszukiwań noclegu, nie pomyślałem oczywiście ani na chwilę o odłączeniu się od swego przewodnika, zacząłem jednak z większym zaciekawieniem słuchać tego, co mi mówił.

Był nietęgim psychologiem. Jego niby mimowoli rzucane opowiadania i zapytania wiązały się w całość o planie bardzo przejrzystym i grubemi niemi sztytem. Naiwne pochlebstwa, na które chciał mnie brać jak na wędkę i niezgrabnie zelgane wspomnienia z własnej rzekomo przeszłości, którą wypowiadając rzucił na mnie co chwila ukradkowe spojrzenia z pod oka, chcąc zbadać jakie wywierają wrażenie i przesuwał niespokojnie na piersiach swe drobne, suche ręce, skurczone w niezmiennym geście chciwości i obłudy, powodowały że, był ze swemi bezskuteczniemi (czego nie spostrzegając) wysiłkami, zdradzającymi obok przewrotności i sprytu zupełny brak inteligencji zabawny i rośmieszający, a równocześnie wzbudzający współczucie.

Starał się teraz najwidoczniej dowiedzieć się czegoś o mojej osobie i w szczególności przepytał o zawartość mej kiesy. Nie wiem z jakich przyczyn powziął przekonanie, że muszę być z rodu „obszarnikiem”, zaczął się więc rozwodzić o swej nieopohamowanej miłości dla „polskiej szlachty”, z sympatji dla której żywi w swem sercu gorące pragnienie, by jak najprędzej

została w Polsce przywrócona pańszczyzna. Chcąc rozwiąć jego iluzje i złote sny o przypuszczalnym planie dobrania się do mej kieszeni nie omieszkalem go zapewnić pospiesznie, że jestem mieszczuchem, z polską szlachcią nie mam nic wspólnego i przywróceniu pańszczyzny jestem przeciwny, a kiesa moja jest zupełnie pusta — z tego powodu zwłaszcza, że wycieczka ma dobiegać końca i posiadany zapas gotówki zdolałem już gruntownie przetrzebić. Potrząsnął na to głową z gestem porozumiewawczym i niby potakującym, wyrażającym jednak nieduwznicznie myśl, że „gadaj sobie, co się podoba, a ja swoje wiem”.

Tymczasem droga nasza zaczęła się przeciągać nadmiernie. Wieś całą, rozciągniętą wzdłuż drogi na przestrzeni paru kilometrów, wymińliśmy w końcu do ostatniej chaty i znaleźliśmy się w wąskim wąwozie, swemi białymi, skalnymi ramionami z bliska obejmującym drogę ze stron obu. Ku memu wielkiemu zdziwieniu w pewnej chwili skręciliśmy w lewo i pozostawiając główną drogę poza sobą, wąską ścieżyną zaczęliśmy się pięć w górę wąwozu, w mroczny i gęsty las. Na zapytanie moje dokąd właściwie zmierzamy, przewodnik odrzekł zwięźle, że idziemy „jeszcze parę kroków” do chałupy gajowego. Dzięki jedynie pewnemu przytępieniu woli i zdolności wnioskowania, wynikającym z nadmiernego znużenia nie zdobyłem się na protest i dawałem się biernie prowadzić. Przelotne jak krótkka iskierka drgnięcie lęku, które się we mnie zbudziło stłumiłem w sobie w jednej chwili obserwacją, że wszak ja, duże, silne i młode chłopisko, pokonam w jednej chwili tego nędznego i małego starowinę w razie, gdyby próbował zwady.

Rozsunęły się wreszcie drzewa i ukazało się niebo — jeszcze niedawno pełne miriadów gwiazd, teraz nagle zaciągnięte kłębem czarnych, gęstych, groźnych chmur. Staliśmy na wyniosłej skale, wznoszącej się ponad dolinę, w głębi której rozciągnęła się wieś. Ogarnął mnie nagły, nieopohamowany niepokój, który otrzeźwił mnie zupełnie. Zdałem sobie nie spodziewanie sprawę z tego że jestem tu sam, wśród obcych gór, w towarzystwie człowieka, który zna tu każdy kamień i ma być może ukrytych w pobliżu sprzymierzeńców.

Stary pociągnął mnie za rękę i wprowadził na brzeg skały. Przysunął się do mnie tak blisko, że nieledwie dotykał swem ciałem mej piersi i wpiwszy w me oczy swój przenikliwy góralski wzrok zaczął dojmującym szczerem opowiadać jakąś groźną legendę o dziejach tej skały. Odsuwałem się z lękiem od skraju przepaści — drżała we mnie nieodparcie myśl, iż chce mnie on w nią strącić. Trzymając mnie kurczowo za rękę pokazywał mi całą dolinę — parę nikłych światełek, tlejących jeszcze w dole, we wsi, białawe plamy skał, widniejących na tle czerni boru na przeciwległym zboczu doliny i wznoszący się nad niemi uroczny zarys ruin zamku. Miał zacięcie zawodowego cicerona.

Nic jednak nie stało się godnego uwagi: ruszyliśmy spokojnie w dalszą drogę. Mój niepokój uległ znowu odprężeniu i powzięty przed chwilą zamiar powrotu do wsi porzuciłem.

Chałupa gajowego ukazała się wreszcie. Mała była i nędzna — wraz z obórką, której strych grał rolę stodoły tworzyła samotną, ze wszech stron szalenie lasem otuloną zagrodę. Okienka były ciemne — widocznie gospodarze już spali.

Na odgłos naszych powolnych i znużonych kroków zaszczekał zajadłe krępy, kosmaty pies, umocowany na łańcuchu kolo futki, lecz gdy mój przewodnik przemówił doń przyjaźnie, uspokoił się odrazu i wywinąłszy parę razy ogonem, ościżale ułożył się w swej budzie. Stary był tu widać częstym gościem.

Śmiało zbliżył się do drzwi chałupy i hałaśliwie zastukał. Po paru dopiero chwilach w znajdującym się obok okienku zamigotało małe światło i wyjrzała wreszcie z poza drzwi rozspana twarz gospodarza.

— A co tam?

— To ja. Przeprowadziłem Wam pana na nocleg.

Bez słowa usunął się ze drzwi i zaprosił mnie gestem do wnętrza. Twarz jego nie zdradzała ani śladu zdziwienia czy niezadowolenia. Był widać przyzwyczajony do takich nocnych odwiedzin.

Wszedłem do niskiej izby, oświetlonej jedynie blaskiem żarzących się piecu węgla. Była to zwykła góralska izba, taka, jakich już wiele widziałem, o z gliny ubitej podłodze, szerokiej i wielkiej, całą jedną ścianę zajmującej ławie, stole, piecu i kilku olbrzymich łóżach, z których z pośród stosów pierzyn wychylało się kilkanaście małych, średnich i dużych rozspanych głów, czułem się w niej jednak jakoś nieswojo.

Nie wyczuwałem tu tej tak milej strudzonemu wędrowcowi, pogodnej atmosfery domowego ogniska, które się w każdej chłopskiej chacie znajduje. Dwaj mężczyźni, ubrani tylko w koszulę gospodarz i stary obszarpaniec, który mnie przypro-wadził stali w milczeniu przy drzwiach, zaś liczne przebudzone głowy przyglądały mi się z pod pierzyn uważnie a niechętnie. Nie otrzymawszy odpowiedzi na słowa powitania zatrzymałem się niepewnie na środku izby.

— Niech skinom plecak i siednom.

Położyłem plecak na ławie i usiadłem ociężale obok niego. Nie zdążyłem jednak nawet rozprostować ramion, gdy gospodarz odsunął się nagle od drzwi, o które był oparty i zakomenderował:

— Chodźmy do stodoły.

Wziąłem plecak i chciałem iść, lecz gospodarz inaczej widocznie chciał sprawę zatłoczyć, bo odezwał się z wyraźną dezaprobatą:

— Plecak mogom ostawić w chalupie.

Bynajmniej nie miałem tego zamiaru. Zdecydowanie ruszyłem ku drzwiom z plecakiem na ramieniu. Gospodarz jednak i mój zasługujący zaiste na wdzięczność kwatermistrz zbliżyli się do mnie i wspólnymi siłami własnymi rękoma zaczęli mi plecak z ramienia zdejmować. Również i głowy z pod pierzyn zakolysały się z zainteresowaniem, zdradzając niedwuznacznie chęć wzięcia udziału w akcji nakłaniania mnie do zostawienia plecaka w chalupie. Z wielkim trudem wyostałem się z opresji, łomacząc że potrzebne mi są do spania zawarte w plecaku koce i wyniosłem swój plecak na podwórko.

Weszliśmy do stodoły. Składała się z gumna, po obu stronach którego znajdowały się niskie klatki, służące za obórki i stajenki. Siano leżało na stryszkach ponad jedną i drugą, tak że z gumna wchodziło się doń po drabinie. Nie marudząc więcej wgramoliłem się wreszcie na stryszek i zacząłem się gotować do snu. Gospodarz i góral, który mnie przyprowadził postali chwilę na gumnie i mruknawszy mi dobranoc wynieśli się ze stodoły, przymykając wrota za sobą.

Zostałem sam. Niepokój opanował mną wszechwładnie. Obawiając się kradzieży ubranie i buty schowałem do plecaka i plecak podłożyłem pod głowę. Jedyną swą broń — mocny, sękaty kosztur, wycięty w Beskidach Sądeckich położyłem sobie pod ręką, nadto drabinkę po której wszedłem przysunąłem tak blisko, bym ją mógł każdej chwili wciągnąć. (Nie chciałem jej wciągać odrązu, gdyż w razie, gdyby obawy me były niesłuszne dotknąłbym gospodarzy, manifestując tak wyraźnie swe podejrzanie). Zmówiłem wieczorny pacierz i otuliwszy się kocem po uszy przymknąłem oczy, postanawiając zbyt twardo nie zasypiać. Przez szpary między belkami, — tak duże, że otworzywszy oczy dostrzegałem przez nie wąskie paski czarnego nieba z kołyszącymi się na jego tle wiotkimi wierzchołkami smreków wdzieral się wiatr, który się nagle zerwał i świszczal, jęczał i zawodził wokół mojej głowy. W chalupie nie spano. Ledwo ucichły na podwórku kroki obu mężczyzn, którzy mnie zawiedli do stodoły i ledwo zamknęły się za nimi skrzypce drzwi chaty, zadźwięczały w izbie skrzypce i wkrótce potem zaczęły się w niej rozlegać okrzyki i hukania, wskazujące niezbicie, że zaczęła się tam zabawa, na której niebrak było alkoholu.

Było mi dobrze. Ciepły koc i miękkie siano grzały me zdrożone, teraz wygodnie rozkurczone członki, świeży dech wdzierającego się przez szpary wiatru chłodził i wachlował mi twarz. Może przez kontrast do myśli, które wzniewał we mnie wciąż nie ustępujący niepokój, podniecony jeszcze przez stwierdzenie, że gospodarze moi czuwają, odczuwałem bardzo żywo rozkosz spokojnego far niente w którym się znajdowałem. Skrzypki brzmiały niezamordowanie, rozlewając wokół nie przerywającą się ani na sekundę falę dźwięków, w pierwszej chwili przykrych i monotonych, potem coraz wdzięczniej wpadających w ucho, ukazujących coraz większe bogactwo góralskich motywów, niby do siebie podobnych, a jednak innych, niby pis-

kliwych, jednak harmonijnych, skocznych, niespokojnych, roz-hulanych, dziwnych, niesamowitych jak faniec chochlików.

Ocknąłem się niespodziewanie. Zdrzemnąłem się na dość długą chwilę, może na parę godzin. Z zupełnego snu tak nagle przeszedłem do zupełnej jawy, jakby jakaś nieprzewidywalna ręka wzięła moją duszę i wstrząsnawszy nią potężnym wstrząsem z krainy złydy zepchnęła ją na ziemię. Było zupełnie cicho. Gra na skrzypcach ustala, zamilkł również wiatr. Atmo-sfera była tak parna i spokojna, jak przed gwałtowną burzą.

Nagle poprzez ścianę stodoły dobiegł mych uszu cichy i ostrożny szepł dwóch głosów. Najwidoczniej na podwórku stało dwóch mężczyzn i naradzało się nad czymś. Byli zdaje się pijani, gdyż głosy ich czasem się podnosiły i dolatywały mnie poszczególnie, wypowiedziane zupełnie głośno wykrzyknienia i wyrazy. Był to gospodarz oraz ten stary góral, który mnie tu przyprowadził. Po dość długiej chwili szepłanej rozmowy usłyszałem naraz całe zdanie, wypowiedziane przez gospodarza:

— On nie jest taki głupi, aby plecak ostawić w chalupie.

Wyteżylem słuch, gdyż najwidoczniej była mowa o mnie. Rozmowa znowu przeszła w szepł, zdradzała jednak znamiona kłótni.

Po paru chwilach znowu dobiegło mnie parę słów, tym razem wypowiedzianych przez drugiego z rozmawiających:

— A jo ci mówię, a jo się na tem znom, i nosa mom, ze to jest pon i ze on pieniądze mo.

Szeptana kłótnia zaostrzała się najwidoczniej. Wreszcie zupełnie już głośno i z wyraźną irytacją wykrzyknął mój przewodnik:

— Tylko żebyś ty mnie draniu nie ocyganił, żeby było po polowie, na co gospodarz znowu szepłtem mu coś odpowiedział, poczem rozległy się na podwórku ciche i ostrożne kroki. Stało się to tak szybko, że o wciągnięciu drabinki nie mogłem już myśleć. Nastąpiła krótka, lecz przykra chwila naprężonego oczekiwania. Nie byłem pewien, czy mam być tylko okradziony wa śnie, czy też grozi mi i co gorszego.

Zaskrzybiały powoli wrota i ciche kroki bosych stóp rozległy się na gumnie. Zaczęłem ostentacyjnie kaszleć i ruszać się w sianie, chcąc tem okazać, że nie śpię i przepłoszyć być może nocnych gości w tym wypadku, gdyby nie mieli innych zamiarów, jak tylko wykorzystanie mego snu dla dokonania kradzieży.

Na szczęście miało to widocznie miejsce, gdyż kroki rozległy się ponownie i skrzypiące wrota się zamknęły. Właściwie powinienem się być uspokoić, gdyż stwierdziłem że mam do czynienia ze zwykłymi złodziejzaskami, a nie z szajką górskich bandytów, czyhających na życie podróżnych. Po tem co słyszałem ogarnął mnie taki lęk, że chciałem się zerwać i umknąć po ciemku gdzie pieprz rośnie. Ale nie danem mi było tego spełnić, gdyż nagle ponownie zajęczał w stodołce wiatr i widocznie przez szpary wierzchołki smreków zakolysały się gwałtownie. Na dach zaczęły padać jedna po drugiej ciężkie, dźwięczne krople dżdżu i wreszcie zadudniła po nim potężna letnia ulewa. Po krótkiej chwili stodołka napelniła się nagłym fosforycznym blaskiem i cały świat zdawało się zatrzęsł się w posadach od uderzenia pierwszego piorunu. Rozhulała się potężna i wspaniała góraska burza, która mi do nocnej ucieczki zupełnie odebrała ochotę.

Przeleżałem więc w stodołce do rana, bacząc, by ani na chwilę nie zasnąć. Parokrotnie fala lęku budziła się we mnie ponownie, zdaje się jednak, że hałasy, które ją powodowały miały tym razem swe źródło w znajdującej się podemną obórze, w której nocowały krowy.

Przygoda nie była więc tragiczną, nie pozbawioną była jednak paru momentów przykrych i co najważniejsza uniemożliwiła mi należyty odpoczynek po długim marszu. Obecnie stanowi pomimo to dość urozmaicający me przeżycia i bez przykrości wspomniany fragment w mej kolekcji wspomnień z wędrowek.

Wieloryb.



Przegląd Pism.

Promień, wydawany przez uczniów VI klasy gimnazjum im. T. Kościuszki w Łomży cierpi najwidoczniej na anemię. Artykuł wstępny p. t. „Ku Jutru” zwraca na siebie uwagę połączeniem napuszonego stylu z bardzo mistyczną treścią. Znajdujemy tam Wyzwoloną Myśl, Wieczność, Niebyt, Lao-Tze, Pra-Naturę i wiele innych rzeczy, które w niezrozumiały sposób znalazły się w jednym miejscu. Całość nasuwa przypuszczenie o rządach przypadku przy układaniu materiału. Wiersz jest niezły.

Skromnie wygląda, lecz z przyjemnością się czyta **Spójnię** — miesięcznik, wychodzący w Łomży. Porusza ona przeważnie kwestie ściśle lokalne, ma przytem lekkie satyryczne zabarwienie. Trzeba przyznać, iż niejednokrotnie trafia się na sól prawdziwie attycką. Zresztą, poza dobroduszną satyrą na własnych kolegów (jest to pismo, wydawane przez gimnazjum) znajdujemy bardzo trafne uwagi (np. w artykule „Z pod płaszczyka Muz”) i przedewszystkiem żywą myśl. Brak pretensji do odgrywania wielkiej roli należy również uważać za zaletę. Dodajmy, iż „Spójnia” liczy VII. rok życia.

Nasza praca — dwutygodnik młodzieży szkolnej pow. Tomaszewskiego ujmuje dążeniem do urozmaicenia treści, co też jej w znacznym stopniu się udaje. Należałoby więcej miejsca udzielić życiu wewnętrznemu samej młodzieży. Póki brak ten nie zostanie wypełniony, powaga treści będzie się zawsze wydawała nieco sztuczną.

W Krakowie ukazał się pierwszy nr. nowego pisma akademickiego — **„Tygodnik Akademicki”**, dość ubogi w treści i przeto nie dający nam możliwości wypowiedzenia się, co zrobimy, gdy będziemy rozporządzali następnym nr. pisma. Artykuł naczelny głosi potrzebę czynów narodowych oraz nawołuje do zwalczania powojennej tandety życiowej. Pod koniec staje się dość mglisty, co się często zdarza, gdy się chce — jak i w tym wypadku — uniknąć „hasel”. Na treść składają się artykuł o numerus clausus, „o tak zwanej bezpartyjności słów kilka”, wrażenia i wycieczki Krakowskiego chóru Akademickiego do Jugosławji i kilka komunikatów z innych działów życia studenckiego.

Największe uznanie należy się **„Młodzieży Polskiego Czerwonego Krzyża”**. Pismo to podjęło się niezbyt, może w obecnych czasach wdzięcznego, lecz tem zaszczytniejszego zadania — szczepienia w młodych duszach litości do wszystkiego, co żyje i konsekwentnie nad niem pracuje. Naszem zdaniem, właśnie tutaj leży środek ciężkości pisma i musi leżeć nadal. Tą drogą więcej, niż jakakolwiek inną, przyczyni się do przyszłego urzeczywistnienia się najpiękniejszej utopji wszystkich czasów — wszechludzkiej solidarności. Nr. 6 „Młodzieży” zawiera m. inn. ukończenie artykułu o skutkach używania alkoholu, echa Katastrofy japońskiej, a w dziale beletrystycznym krótką i zaopatrzoną w bardzo śmieszne obrazki bajeczkę o Typciu, który myć się nie lubił.

Do życzenia pozostawia tylko objętość poszczególnych numerów.

Iskry, nr. 9. Zewnętrznie ładne, natomiast grzeszą nadmiarem uczoności w treści, karmiąc dzieciaków popularyzacjami utrzymywanymi w dość poważnym ostatecznie tonie. Pierwiastek beletrystyczny przedstawiony narazie jest jedynie powieścią p. Rabskiej, („Skrzynka z dukatami”, o którym poza tem, że jest patriotycznym, nic się powiedzieć nie da. Prawdziwa iskierka płonie natomiast na ostatniej stronie każdego numeru, właściwie na okładce nawet, gdzie redaktor Kopczewski prowadzi serdeczne pogawędki ze swymi czytelnikami. Napewno „Nasze listy” więcej trafiają do przekonania miłusińskim, niż wszystko inne, co wypełnia wykwinne zeszyty Iskiei.

Samokształcenie, miesięcznik oświatowo-kulturalny przez red. A. Szymańskiego. Warszawa, Wilcza 66, m. 11. Każdy wysiłek, dążący do dźwignięcia społeczeństwa naszego z powojennego rozluźnienia moralnego, zasługuje na największe uznanie — bez względu na osiągnięte wyniki. Musimy atoli zauważyć, że napróżno poszukiwaliśmy wzmianek o zrealizowanych już „zebraniach dyskusyjnych, pogadankach, referatach, zebraniach towarzyskich, zwiedzeniu muzeów, wystaw, zakładów przemysłowych i urzędzeń wielkomiejskich, wycieczkach krajoznawczych i wreszcie, zabawach sportowych” — zapowiadanych w takiej obfitości w artykule wstępnym. Redakcja podaje, co-prawda, uprzejmie do wiadomości, kiedy i z kim zawarli związek małżeńskie prezes i bibliotekarz towarzystwa, oraz sekretarz redakcji, lecz z naszego punktu widzenia są to rzeczy drugorzędne i nic z samokształceniem nie mające wspólnego. Artykuły: O wychowaniu obywatelskim młodzieży, O wyborze zawodu i O poprawnym języku młodzieży zawodowej, obfitują w pożyteczne myśli. Uwagi o charakterze autobiograficznym na temat — Co mi dało Samokształcenie — p. Bojarskiej traktują temat zbyt pobieżnie.

Wychowanie fizyczne, nr. 5-8. Sierpniowy zeszyt przynosi ciekawą i obszerną rozprawę Dra Gądzikiewicza o kontrolo-waniu z punktu widzenia higieny książek szkolnych, przez nie-odpowiedni druk przyczyniających się w znacznym stopniu do powstawania krótkowzroczności u młodzieży. Podana jest literatura przedmiotu. Prof. Eug. Piasecki zajmuje się projektem planu działalności M. W. R. i O. P. na polu wychowania fizycznego. Obszerna kronika wydawnictw pedagogicznych, sportowych instytucji oraz czasopism i t. p. dopełnia całości.

Sportowiec Polski w Brazylii przynosi liczną Kronikę życia sportowego w Paranie i sporo miejsca udziela — bo aż trzy artykuły — harcerstwu, co z zadowoleniem podkreślamy.

Oprócz wymienionych pism redakcja otrzymała szereg innych, które z braku miejsca zostaną omówione w najbliższym numerze Czuj-Ducha.

j. l.



Wśród nowych książek.

Cennym nabytkiem dla harcerza mogą być dwa pierwsze tomy „Szkolnej Biblioteczki Historycznej”, wydawanej przez księgarnię J. Lisowskiej w Warszawie. Przynoszą one Wybór dokumentów niezbędnych do nauki hist. polskiej, dokonany przez znanego historyka prof. H. Mościckiego. Zbliżenie się do materiałów źródłowych pomaga świetnie do samodzielnego oceniania wypadków dziejowych, uczy wnioskować i wyrażać zdolności krytyczne. Należy więc ze sposobności skorzystać, tembardziej, że przecież dobry harcerz musi wybornie znać dzieje polskiego narodu, a w tej wdzięcznej pracy „Wybór dokumentów” robotę mu znacznie ułatwi. Przy sposobności zwracamy uwagę na doskonałe Teksty źródłowe, Krakowskiej Spółki Wydawniczej, które umiejętnie wprowadzają czytelnika w świat pewnych epok historycznych i pogłębiają znajomość przeszłości narodowej.

„Młody Konstruktor Maszyn”. Zasady budowy Maszyn oraz podręcznik do budowy modeli. Według dzieła „Adams Machinery book for boys” opracował Eberhardt Schnetzler. Z 35 wyd. niemieckiego przełożył St. Szydelski. Nakład i własność księgarni B. Kotuli Cieszyn 1923. — Nie potrzeba wiele pisać na temat, jak dalece odczuwaliśmy brak książek tego rodzaju, któreby w przystępnej i pociągającej formie zapoznawały młodzież z najbardziej podstawowymi zagadnieniami tak szalenie rozwiniętej techniki czasów współczesnych. Książka powyższa w tym kierunku właśnie spełnia swe zadanie zapoznając z rozwojem techniki przystosowanej do potrzeb nowoczesnego życia, daje zarazem poznanie wielu, najważniejszych praw przyrody na której technika jest oparta. Nie ogranicza się przytem bynajmniej do dania pewnego zasobu wiadomości teoretycznych, lecz przeciwnie zawiera cały szereg praktycznych wskazówek, do samodzielnego konstruowania modeli maszyn włącznie.

Książkę swą dzieli autor na trzy zasadnicze działy. W pierwszym podaje najniezbędniejsze zasady teoretyczne. Ujmuje je w sposób nader przystępny i pozbawiony owej suchości naukowej cechującej prawie wszystkie nasze podręczniki fizyki. W drugim podaje opis i objaśnienie najważniejszych części maszyn i samych maszyn. W trzecim dziale wreszcie daje autor wskazówki do sporządzania maszyn i ich modeli. Wskazówki te dając dużą swobodę co do wykonywania szczegółów, dają szerokie pole własnej pomysłowości.

„Technik Domowy”. Podręcznik dla amatorów rzemiosła Eberhardt Schnetzler. Z 35 wydania niemieckiego przełożył St. Gieszczykiewicz, Nakład i własność księgarni B. Kotuli, Cieszyn 1924.

Z wielką radością witamy ukazanie się w tak krótkim czasie drugiego podręcznika z zakresu techniki i rzemiosła. Książka jakkolwiek przeznaczona dla amatorów rzemiosła, oddać może poważne usługi każdemu w czyje dostanie się ręce. Jest bowiem pewnego rodzaju encyklopedją z zakresu techniki domowej i daje wiele wskazówek co do obchodzenia się i użycia wszystkich najprymitywniejszych narzędzi. Udzieli objaśnień o urządzeniach nowoczesnych mieszkań, a więc mówi o opalaniu, ogrzewaniu, oświetleniu i t. d.

Prócz znaczenia jakie posiada książka jako ów praktyczny podręcznik w życiu codziennym, posiada specjalne znaczenie dla tych, którzy bliżej chcieliby się zapoznać z podstawowymi zagadnieniami rzemiosła i techniki domowej.

Rozdziały I do Vgo podają krótki i jasny opis narzędzi, oraz najlepszych sposobów ich użytkowania, dalsze VI—IX zajmują się urządzeniami domowymi dając sposoby przeprowadzenia naprawek i wskazówki do zaprowadzania urządzeń samemu.

Znaczenie wyżej wymienionych książek muszą jeszcze podkreślić z naszego harcerskiego punktu widzenia. Harcerstwo najsilniej bodajże podkreśliło niesłuszność wychowania jednostronnie umysłowego z pominięciem sprawności fizycznych, wyrobienia zręczności, spostrzegawczości i t. d. Książki powyższe mogą nam być cenną pomocą w wyrabianiu w sobie wymienionych cech. Samodzielna praca umysłowo-mechaniczna, ciągłe pokonywanie najróżnorodniejszych trudności technicznej, potrzeba własnej pomysłowości, składają się na wyrobienie tych cech w harcerzach, które w nich tak chętnie pragnęlibyśmy widzieć. Dział „Co mogę sobie sam sporządzić” wydaje się jakgdyby specjalnie dla harcerzy napisany. Z. K.



„Jak to krakowska jedenastka obchodziła św. Mikołaja.”

(Z konkursowych obrazków harcerskich).

Wesoło dziś w izbie jedenastki. Gwarno jak w ulu. „Śpiący Bober” targa swe rudawe wąsiki i głowi się zapewne nad mównicą. „Kociołek” z „Kasią” gotują coś na kuchni. Liski się mocują, wilki pomrukują, a orły, seniorowie drużyny, spoglądają na wszystko pobłażliwie. Mimo to każdy lisek robi ciekawą minkę, wietrząc coś, czegoś się domyślając. Oj filuty! O mało im ślepią z ciekawości nie powyślą. Rozglądają się po izbie: nie podejrzanego! Jak było tak jest. A jednak...

Nareszcie się Bober namyślił.

— Uwaga chłopcy! Coś wam powiem!

— Baj baj o św. Mikołaju — rzuca ktoś dowcipny z kąta.

I rzeczywiście, Bober baje o św. Mikołaju. Liski udają, że uważają, a jednak ślepkami mig na lewo, mig na prawo. Oho! — Druh przyboczny pocichutku zwał do drugiej izby, a za nim „piękny Staś”.

— Coś będzie... to podejrzane — mrugają liski na siebie.

Po kilku minutach rozlega się w sieni piskliwy głos dzwonka. Lisków przenika zimny dreszcz. Dusze ich siedzą już, już na ramionach. Wilki

ciekawie nadśluchują, a orły uśmiechają się skrycie i śpiewają:

„... a ja stoję sam na czacie,
straszno, straszno mi!”

Rozlega się pukanie. Liski hurmem biegną do drzwi, otwierają je i... uciekają w poplochu do swego kącika.

W progu staje coś, co ma być św. Mikołajem. To „coś” jest raczej podobne do popa ruskiego, przebranego w szaty biskupie. Mniejsza o to: pop, czy św. Mikołaj. Byleby tylko był.

— Czuwaj! — rozległo się poważnym głosem i św. Mikołaj wśloczył się do izby, a za nim rozkoszny djabełek, objuczony czarną od pyłu ducką na węgle, która przedtem była własnością tercjana. Z ducki kokieteryjnie wyglądała na świat boży różeczka i inne tem podobne przysmaczki.

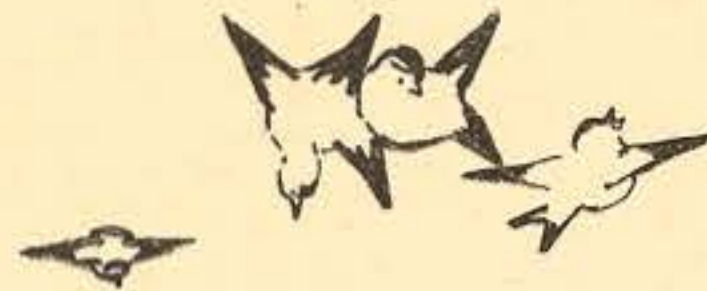
O ile św. Mikołaj podobny był do popa, to djabełek swoją postawą przewyższał wszystkie szatany, jakie tylko zdołała sobie ludzkość wyobrazić. Dla większego wrażenia niósł djabełek czerwoną latarę, wykonaną z bibuły przez mistrza Żabusię.

Jak już powiedziałem, liski na widok tak nie- zwykłych gości pierzchnęły odważnie do swego

kącika; ale wilki, jako że wszędzie nos wścibią — otoczyły więc św. Mikołaja i jego efektownego djabełka. Święty po kilku przemowach, mównkach i mówczkach jał dobywać z czarnej czeluści kosza różne podarki. Ho, ho! co tam nie było! I różga dla „Śpiącego Bobra”, i miotła dla całej drużyny (zamiast różgi), i mikroskopijny piernik dla lisków i wiele, wiele tym podobnych cacek!

A co było radości, śmiechu i krzyku? Nie spisałbym tego nawet na wołowej skórze. Bawiła się gromada swobodnie, serdecznie.

Lecz nie na tem koniec. Za pośrednictwem św. Mikołaja obdarzył drużynę nas pocziwy „Plan- kton” wspaniałym poematem, w którym opisał przygody trójki hultajskiej w puszczy Niepołomickiej



Skauting zagranicą.

Z zagranicznych czasopism.

Holandia. Skauci holenderscy zrobili w tym roku latem kilka wycieczek za granicę. Jedną z drużyn odwiedziła Austrię, Szwajcarię i Włochy — wiele innych zadowolilo się bliższymi wycieczkami do Belgii i Francji, nawiązując serdeczne stosunki ze skautami tych krajów.

Dzięki bliskości z Anglią utrzymują też skauci holenderscy żywą łączność z bratnią organizacją angielską, szczególnie nie brak nigdy Holendrów w wielkim obozie Gillvella, gdzie elita skautingu całego świata uczy się „przemieniać idee w czyn” i skąd nowy Duch rozszerza się po wszechświatowym związku skautów.

Chiny. Ruch skautowy pomiędzy Chińczykami w ich rodzinnym kraju dotąd bardzo nieznacznie poczynił postępy. Pierwsza drużyna założona została w Pekinie w szkole Chung Te według wzorów europejskich i rozwija się pomysłnie kładąc główny nacisk na obozowanie i wycieczki, oraz wogóle zbratanie się z przyrodą. Znakomite wysiłki osiągnięte przez nią wśród młodych Chińczyków pozwalają żywić nadzieję, że w niedługim czasie organizacja skautowa znacznie zyska na sile i rozszerzy się w całym kraju.

Francja. W roku ubiegłym poraz pierwszy urządzono we Francji oboz insruktorski wspólny dla wszystkich trzech francuskich organizacji skautowych. Inicjatywa w tym kierunku wyszła od amerykańskiego Komitetu Odbudowy obszarów zniszczonych (Mrs. Dike i Miss Morgan), który też dostarczył w tym celu środków materialnych. Oboz ten znajdował w Cappy w otworzeniu jego brał udział Minister oświaty oraz przedstawiciel Naczelnego skauta świata sekretarz generalny międzynarodowego Biura Skautowego p. Mortin.

W obozie tym odbyło się kolejno kilka kursów instruktor- skich dla drużynowych, wszystkich trzech organizacji francuskich, którzy pracowali tam usilnie — i jak sądzić można z opisywanych przez nich wspomnień — w najlepszej zgodzie, radośnie i z pożytkiem nad pogłębieniem w sobie ducha skautowego, uzupełnieniem technicznych wiadomości i przygotowywaniem się do kierownictwa nad innymi w przyszłości.

Wyniki wszystkich kursów były znakomite i należy się spodziewać, że wniosą wiele nowego życia do organizacji.

Skauting ruski. We wschodniej Małopolsce wśród tamtejszych Rusinów istnieje organizacja skautowa niezależna od polskich władz harcerskich. Praca w niej po latach wojny zaczyna zdaje się nabierać intensywności i wchodzić na bardziej normalne tory. Niestety sprawy polityczne wciąż jeszcze zanadto zaprzętają tamtejsze kierownictwo i stąd częste konflikty z naszymi władzami, stojącymi oczywiście na straży naszej państwowości. Dlatego też, jakkolwiek z radością witamy wszędzie powstanie bratnich organizacji w każdym narodzie wstrzymamy się narazie od omawiania organizacji ruskiej, przesyłając równocześnie szczerze życzenia: mniej polityki a więcej pracy realnej, więcej ducha miłości, który jest naczelną ideą skautingu.

Niespodziankom tego wieczoru nie było końca. Zaledwie św. Mikołaj rozdał podarki, odczytał poemat, zaraz zabrał się do częstowania druchów herbatką, no i... ciastkami, które także znajdowały się na dnie djabełkowego koszyka. A potem? Potem była zabawa. Popisy śpiewackie i produkcje bardzo oryginalnej orkiestry, której zespół składał się z trzech skrzypiec, baselli (z laski harcerskiej) i bębena (kociołek i dwie rączki do pisania).

... i rzęła ta orkiestra te piosnki harcerskie, tak żywe i dźwięczne, siejące radość wokoło, radość z młodości...

... to znów zaważackie krakowiaki, ogniste mazury i te pieśni żołnierskie drzące nutą bojową...

... i tak w kółko, i tak w kółko...

Kociołek.

The American Girl. Pismo to — organ amerykańskich żeńskich drużyn skautowych — wyposażone w wspaniałą szatę zewnętrzną, o jakiej żadne z naszych wydawnictw ani marzyć nie może, przynosi szereg ciekawych wiadomości o życiu dziewcząt — przewodniczek w Ameryce. Oprócz rzeczowych artykułów, dotyczących sposobu i techniki obozowania i zajęć sportowych, zdumiewających swoją drobiazgowością i dokładnością, znajdujemy w niem opisy nieznanych u nas gier i zwyczajów, szematy pracy w zastępie i drużynie na czas letni, i interesującą kronikę zajęć i pracy tamtejszych skauetek.

Szczególnie uderza w każdym drobiazgu szczerze amerykańska werwa i rzetelność jaką się odznaczają Amerykanki oraz przywiązanie ich do organizacji, którego znakomitym przykładem jest fakt wspomniany tam często, że uczestniczki obozów wspólnych rok rocznie zbierają się potem dla ożywienia wzajemnych wspomnień i wzajemnego zachęcania się do nieustawiania w pracy w służbie idei w obozach tych poznanej i — co więcej — przeżytej.

To też nie dziwnego, że liczba skauetek w Ameryce od r. 1912 wynosi już 355.406 i z każdym miesiącem się powiększa.

Na czele skauetek amerykańskich, które tworzą organizację zupełnie samoistną i od męskiej niezależną, stoi Miss Hoover, żona znanego przyjaciela Polski Herberta Hoovera, a główny wysiłek kierownictwa skierowano obecnie na pozyskanie dla skautingu żeńskiego także okręgów wiejskich, gdzie dotychczas niewiele miał powodzenia.

Lo Scout Italiano — organ katolickich skautów włoskich (A. S. C. I.) informuje dokładnie o życiu swej organizacji, przynosząc w każdym numerze wiele korespondencji z poszczególnych środowisk, co ogromnie ożywia pismo i nadaje mu charakter bardzo sympatyczny. Jak widać katolicy skauci włoscy pracują wytrwale nad podniesieniem swej sprawności fizycznej świadcząc o tem fakt, że prawie każda drużyna miała swój własny letni oboz przez dłuższy czas, przyczem wiele drużyn urządziło obozy daleko od swych siedzib, w górach lub nad morzem, dając tem swoim członkom sposobność nietylko przebywania w ścisłym kontakcie z przyrodą, ale i poznania kraju ojczystego.

Skauci włoscy biorą czynny udział we wszystkich znaczących uroczystościach katolickich w charakterze straży honorowej i jako utrzymujący porządek w procesjach, pochodach itd. Niedawno przyjął ich delegację w składzie kilkuset osób Ojciec święty na specjalnym posłuchaniu i odprawił dla nich Mszę świętą w swej prywatnej kaplicy, podczas której w gorącym przemówieniu zachęcał ich do wytrwania w wierności ideałom katolickim i skautowym.

Ceremonia prawa skautowego. W obozach amerykańskich drużyn skautowych rozpowszechniony jest zwyczaj urządzenie w szczególnie doniosłych chwilach t. z. ceremonii prawa skau-

towego. Ponieważ zwyczaj podobny mógłby bardzo łatwo znaleźć i u nas zastosowanie ze względu na piękną myśl w nim zawartą, podajemy w krótkości opis jego według przedstawienia pomieszczonego w czasopiśmie amerykańskich przewodniczek „The American Girl”.

Wieczorem, w dniu jakiejś skautowej uroczystości, rozpala się w pobliżu skraju lasu duże ognisko. Obok kłęką jeden ze skautów z twarzą zwróconą ku lasowi, dalej stają w szerokim półkolu widzowie zachowując ścisłe milczenie.

Z lasu wychodzi przybrana biała osoba, przedstawiająca ducha prawa skautowego z płonąca pochodnią w ręce i zbliżywszy się do ogniska, staje przed kłęczącym w pełnym umundurowaniu skautem, który go zapytuje „Ktoś ty, który przybywasz z głębin ciemności, niosąc potęgę światła?”. Na to odpowiada mu osoba przybrana za „Ducha”: „Jestem duchem prawa skautowego i chcę ci pokazać istotę mej światłości”. Potem, na dany przez ducha znak, wychodzą z lasu po kolei osoby personifikujące poszczególne artykuły prawa skautowego. Każda z nich niesie niezapaloną pochodnię, obchodzi wokół ogniska, kłęką przed duchem, zapalając równocześnie swoją pochodnię od pochodni „Ducha”, wygłasza prawo skautowe, którego jest przedstawicielką, dodając odpowiednie zastosowanie i cel danego artykułu, poczem ustawia się obok „Ducha” — i to po prawej lub lewej jego stronie, tak że w końcu tworzą wszystkie prawa z „Duchem” pośrodku półkolu zwrócone twarzami ku ognisku.



Przedzlotowe kłopoty Małego Kazia..

I choć człowiek mały przecie,
Ciężko jednak żyć na świecie.
Dziś nam mówił drużynowy
Że złot będzie narodowy.
„Każdy przejdzie przez tę bramę,
Lecz zapyta przedtem mamę”.
No i pytam grzecznie całkiem,
Jak to będzie z tym „kawalkiem”?
Mama na to: „Bardzo proszę
Weź parasol i kalosze;
Lecz idź przedtem też do cioci”..
(Co wy nato moi złoci?)
Tak więc sypiesz z mężną miną,
Po przestrożę też ciocina.
A znów ciocia mówi słodko:
„Ależ nie jedź — będzie błotko;

Ma złot, wierzę dużo czaru,
Lecz nabawisz się — kataru!”
No: i chociaż człowiek lekki
Grube kładzie wnet skarpetki.
To nie wszystko jest jednakże
Babcia żegnać chce się także,
I wyciąga wnet z komody
Szal na wszelkie nocne chłody.
I tak dalej: wuj, stryjenka
Każdy boi się, a stęka
Nie wie nawet ojciec drogi
Że skaut kutu w cztery nogi.
Zato wam się przysnam skrycie,
Że w obozie mnie ujrzenie,
A choćby mnie zamknięto w domu
Na złot zwięję — pokryjomu!

Mały Kazio.

Jack London.

Wotanie Puszczy.

Tłum. C. K.

(Ciąg dalszy)

Jan Thornton stanął nad Buckiem, lecz nie mógł wymówić ani słowa, widać tylko było jak drży z gniewu i oburzenia.

„Jeśli mi ruszysz tego psa, to cię zabiję” — wyksztusił w końcu zdławionym głosem.

„To mój pies” — bronił się Hal. „Zejdź mi z drogi, bo inaczej rozprawię się z tobą inaczej. Ja jadę do Dawson.”

Ale Thornton się nie ruszał, stał między Hal'em a Buckiem, jako jego obrońca. Wówczas Hal wyciągnął swój nóż myśliwski, lecz Thornton jednym uderzeniem świeżo wystruganego cieśliska, wytrącił mu nóż z ręki. Hal schylił się, by nóż podnieść, lecz cieślisko znów mu go z ręki wytrąciło. W końcu Thornton podniósł nóż i rozciął nim uprząż Bucka.

Teraz już Hal musiał się poddać, zresztą Buck i tak był bliskim końca, więc nie warto się było o niego rozbijać.

W parę chwil potem cała trójka ruszyła w drogę ku rzece. Buck słyszał, że odjeżdżają, podniósł nawet głowę, żeby się im przypatrzeć. Widział, jak Pik prowadził. Sol-leks był przy samych saniach, a przed nim szły Joe i Treek. Psy ledwie się wlokły, lecz mimo to Mercedes siedziała na saniach. Hal sterował, a Charles włókł się na samym tyle.

Podczas kiedy Buck przypatrywał się saniom, Jan Thornton ukląkł przy nim i zaczął ostrożnie badać jego kości. Ku swojej wielkiej radości nie znalazł żadnego złamania, widział tylko, że pies jest wychudzony do ostatecznych granic. Po chwili podniósł oczy na Bucka i poszedł za jego wzrokiem. W oddali zobaczył sanie i ludzi jak się powoli posuwali po zmarzniętej rzece. Nagle tylna część san zapadła się jakby w wybój, i Hal mignął im w powietrzu. Potem rozległ się krzyk, widać było Charles'a, jak usiłował się cofnąć, ale już było zapóźno. Duża płyta lodowa, na której stali, zachwiała się i zapadła w głąb rzeki. Po chwili widać już było tylko wielką, ciemną dziurę wśród lodu, która pochłonęła i ludzi i psy.

Jan Thornton spojrzał Buckowi w oczy.

„Biedne psisko” — szepnął, a Buck zaczął go lizać po rękach.

Dla miłości człowieka.

Gdyby nie ciężkie odmrożenie nóg, byłby zapewne Jan Thornton wyruszył ze swymi towarzyszami w górę rzeki po drzewo, które tratwami mieli spławiać do Dawson. Ale że kulał bardzo i nogi dotkliwie go bolały, więc rozbił sobie obóz nad rzeką i postanowił tam czekać na powrót swych towarzyszy.

Tymczasem wiosna szła cudna i ciepła, wszystko się budziło do życia, więc i Thornton z dniem każdym czuł, że mu sił w nogach przybywa. Kulał jeszcze, ale ból ustawał i puchnięcie zaczynało kłęsnąć. Także i Buck czuł się coraz lepiej. Całymi dniami leżał wyciągnięty do słońca, wpatrzony w migotliwe fale rzeki, które się u stóp jego rozbiły. Ponad nim las cały rozbrzmiewał radosnym śpiewem tysięcznego ptactwa. Wszak i dla niego rozpoczynała się wiosna i nowe życie. Rany mu się wygoiły, mięśnie nabrzmiwały i stężały, tak że okrywały teraz jego szkielet mocnym i jędrnym pancerzem. Próźniacze życie służyło mu najwidoczniej, lecz nie on jeden próżnował, bo i Jan Thornton to samo czynił i Skeet'a) i Nig. Wszyscy

¹⁾ czyt. Skita.

czekali na tratwę, która miała ich zawieść do Dawson. Skeeta, była to mała irlandzka setterka, która od razu obdarzyła Bucka swoją przyjaźnią chociaż on, początkowo, dość obojętnie się do niej odnosił. Skeeta miała dużo wrodzonego instynktu macierzyńskiego więc też codziennie wymywała językiem wszystkie rany Bucka, tak jakby on był jej własnym szczeniakiem. Zabiegi te powtarzały się co rana, po śniadaniu i w końcu Buck tak do nich przywykł, że wyczekiwał ich tak, jak wyczekiwał pieszczoł Thorntona. Nig też był sympatyczny, choć mniej czuły. Był to duży czarny pies, z gatunku psów używanych do polowań na jelenie. W oczach jego przebijała się wielka uczciwość i dobroć. Buck był prawdziwie zdziwiony kiedy zobaczył, że żaden z psów nie jest o niego zazdrosny. Widocznie pogodna dobroć Jana Thorntona i psom się udzieliła. Bawily się one z Buckiem serdecznie, a często nawet i Thornton przyłączał się do ich zabaw. W ten sposób rozpoczął się dla Bucka nowy okres życia — jasny i pogodny. Po raz pierwszy odnalazł w sobie miłość taką, jakiej nie zaznał nawet w słonecznej dolinie Santa Clara, w domu sędziego Millera. Synów Millera lubił, włóczył się z nimi po różnych wyprawach i polowaniach, ale traktował ich jak kolegów, towarzyszy: wobec wnuków Millera czuł poważną, pełną godności przyjaźń. Lecz uczucie jakie żywił dla Thorntona było czemś zupełnie innym, różnym od wszystkiego co znał dotąd. Była to gorąca, namiętna miłość i bezgraniczne uwielbienie.

Nawet kiedy towarzysze Thorntona, Hans i Pete, przyjechali z tratwami, Buck ani na nich nie spojrzał. Dopiero kiedy zrozumiał, że ludzie ci należą do jego pana, zaczął ich tolerować t. zw. pozwał im się głaskać, ale czynił to zawsze z takim gestem, jakby to była wielka łaska z jego strony. Na szczęście obaj ci ludzie byli z tego samego gatunku co Jan Thornton — ludzie leśni których myśli są proste a oczy bystre; zrozumieli więc Buck'a od razu i wcale mu się nie narzucali, ani szukali z nim zażyłości w jakiej żyli z Nigiem lub ze Skeetą.

Jeśli zaś chodzi o Thorntona, to Buck coraz bardziej lgnął do niego, coraz bardziej go kochał. Thornton mógł z nim wszystko zrobić, nie było takiego rozkazu, któreby Buck nie usłuchał, byle tylko rozkaz wyszedł z ust jego pana. Pewnego razu, (kiedy już opuścili Dawson i znajdowali się nad brzegami rzeki Tanana), Thornton wraz z towarzyszami i psami usiadł sobie dla wypoczynku na stromym występie skalnym, który urywał się ku skalistej gardzieli gładką ścianą mającą około 300 stóp wysokości. Buck leżał u stóp swego pana. Nagle szalona myśl zaświtała w głowie Thorntona. „Buck, hop!” — krzyknął, wskazując ręką przepaść. Pies zerwał się w mgnieniu oka i byłby skoczył, gdyby go Thornton nie był w czas chwycił. Przez chwilę obaj zawisli nad samą krawędzią przepaści, dopiero Hans i Pete ściągnęli ich w bezpieczniejsze miejsce.

„To warjactwo” — rzekł Pete, kiedy nareszcie ochłonął z przestraszu.

Thornton potrząsnął głową. „To nie warjactwo, to jest cudowne i straszne zarazem. Wiesz, że mnie to czasem aż dreszczem przejmuje”.

„Już ja bym niechciał podnieść na ciebie ręki, kiedy on jest w pobliżu” — rzekł Pete, wskazując głową Bucka.

„Do licha, ani ja” — dodał Hans.

Raz Buck uratował życie Thorntonowi wśród takich okoliczności: Jan Thornton wraz z towarzyszami przepławiali

swoją łódź przez niebezpieczne katarakty, koło Forty-Mile Creek. Hans i Pete szli wzdłuż brzegu kierując łodzią przy pomocy długiej liny. Jan Thornton stał w łodzi i dragiem odpychał się od wystających z wody skał i kamieni. Od czasu do czasu rzucił swym towarzyszom rozkazy, które oni w lot wykonywali. Buck też był na brzegu i z oczu nie spuszczał swego pana.

Przez czas jakiś wszystko szło dobrze. Nagle dotarli do do miejsca, gdzie strumień przechodził w wąską gardziel, otoczoną stromymi skalami, która opadała dość gwałtownie nachyleniem ku niebezpiecznym kataraktom, pełnym wirów i zdradliwych głębin. Hans pobiegł szybko w dół nie wypuszczając z rąk liny, chciał on zatrzymać łódź przed kataraktami żeby ją potem we właściwy prąd skierować. Thornton tymczasem spychał łódź w stronę gardzieli. Woda chwyciła łódź i poniosła ją w dół z taką szybkością, że w mgnieniu oka znalazła się ona nad kataraktami. Hans chciał ją zatrzymać, lecz szarpnął linę tak gwałtownie, że łódź zatoczyła młynka, potem dała nura i za chwilę wypłynęła przewrócona do góry dnem. Thornton wyleciał z łodzi jak z procy prosto w rozszalałe fale strumienia, z których najlepszy pływak z życiem by nie wyszedł.

Buck jedynym olbrzymim susem skoczył ku swemu panu i ledwie ludzie na brzegu zdolali się opamiętać, już był przy Janie Thorntonie. Po chwili obaj płynęli w stronę brzegu, naprzód Buck, a za nim Thornton przyczepiony do Buck'a ogona. Lecz przedostanie się do brzegu nie było rzeczą łatwą, bo silny prąd wody znosił ich w stronę katarakt. Tam poniżej szalały fale rozbijając się w tysiące bryzgów o ostre i jak szceć zjeżony łańcuch skał. Siła rwącego nurtu była tak wielka, że Thornton stracił nadzieję przedostania się do brzegu. Woda przerzuciła go przez jedną skałę, otarła go o drugą, aż w końcu zatrzymał się przy trzeciej. Puścił więc z rąk Bucka i schwytał się oburącz ślizkiej skały. „Naprzód Buck, naprzód!” wołał, lecz Buck walczył z naporem fal, które go coraz dalej w dół staczały. Na głos swego pana zatrzymał się na chwilę, pysk

podniósł ponad wodę, jakby chciał jeszcze raz ostatni zobaczyć swego pana i posłuszny rozkazowi z największym wysiłkiem ruszył naprzód w stronę brzegu. Pete i Hans czekali już na niego i pochycili go tuż nad samą gardzielą pierwszej katarakty.

Wiedzieli oni dobrze, że niema chwili do stracenia; Thornton trzymał się jeszcze skały, ale ramiona mu słabły, a woda napierała na niego z przemożną siłą. Gwizdnęli więc na Bucka i pobiegli co sił w górę strumienia. Kiedy znaleźli się w pewnej odległości powyżej Thorntona, przywiązali Buckowi linę koło szyi i koło przednich łap, tak, żeby go nie dusiła i potem puścili go na niej z powrotem do wody. Buck zrozumiał o co chodzi. Skoczył w spienione fale, lecz skoczył za blisko. Przekonał się o tem po chwili dopiero, kiedy woda poniosła go w dół i zobaczył, że mija Thorntona w takiej odległości, że ani Thornton jego, ani on Thorntona pochwytać nie może.

Hans, który przez cały czas trzymał drugi koniec liny w swym ręku, zaczął Buck'a jak łódź przyciągać do brzegu. Lecz siła wody, która Buck'a w dół unosiła, była tak wielka, że ściągnęła Buck'a na samo dno strumienia i dopiero kiedy ciało jego o brzeg uderzyło, dopiero wówczas udało się go Hansowi napowrót na powierzchnię wody wyciągnąć. Buck był nawpół przytomny. Hans i Pete rozcierali mu ciało, robili sztuczne oddychanie, lecz pies leżał bez ruchu, jak martwy. W tem nagle doleciał ich z daleka głos Thorntona. Mężczyźni słów nie zrozumieli, odgadli tylko, że Thornton walczy już ostatkami. Na dźwięk tego głosu, Buck zerwał się na równe nogi. Zapomniał o własnym wyczerpaniu i w kilku susach znalazł się w gorze strumienia, w tym samym miejscu, z którego poprzednio skakał wodę.

Znowu przyczepiono mu linę do nóg i do szyi i znowu skoczył w nurty strumienia, lecz tym razem skoczył już daleko, tak, że znalazł się od razu w samym środku prądu. Pamiętał on swoją poprzednią pomyłkę.

(C. d. n.)

Jeszcze jeden konkurs.

Trzy powyższe zagadki stanowią pierwszą część konkursu. Dokończenie umiemy w następnym numerze. Między zwycięzców, t. j. tych którzy wszystkie zagadki konkursu rozwiążą rozlosuje się 2 nagrody: 1. Książkę „Młody Konstruktor Maszyn” 2. Kwartalną prenumeratę „Czuj Ducha”.

Trójkąty magiczne.

I.

*		*
*	*	*
*	*	*
*	*	*

Spółgłoska.
Organ zmysłu.
Ryba.
Pierwsze słowo magiczne.

II.

*		*
*	*	*
*	*	*
*	*	*

Samogłoska
Przeszkoda w terenie
Wejście i wyjście
Drugie słowo magiczne.

Słowa magiczne, stanowiące największe skarby życia, odczytać trzeba również z liter umieszczonych w ramionach trójkątów, w kwadracikach z gwiazdami.

„Co robisz?”

(Szarada).

Przy takiej pięknej *pierwszej-czwartej* nie wysiaduję mając czas w *drugim wstecz-czwartym* oglądając *drugie-czwarte* iludzi na drodze.

— Więc idziesz na przechadzkę?

— Czwarte!

— *Pierwsze wstecz-drugie wstecz-czwarte* idziesz chyba, choćby był najlepszy, malinowy? W taki mróz...

— No, powiem ci, bo się ani rusz nie możesz domyślić. Popołudniu nie wołam: *druga wstecz-trzecia wstecz-druga* podwieczorkowa! zginęłaś dla mnie! — tylko z radością idę po Janka i razem uprawiamy na pagórku *całość*.



archiwum

Kronika harcerska.

Naczelnictwo Z. H. P. komunikuje, że z rozprzedaży nalepek wydanych z okazji obchodu rocznicy „Cudu nad Wisłą” uzyskano 90 253 500 (dziewięćdziesiąt milionów, dwieście pięćdziesiąt trzy tysiące pięćset marek), sumę tę ulokowano w sposób zabezpieczający od spadku waluty, przeznaczając ją w pewnej mierze na wydatki związane z utrzymaniem instruktorów i instruktorek objazdowych i z wydawnictwami.

Konferencja instruktorek.

W dn. 30 i 31 grudnia odbyła się w Łodzi IV doroczna konferencja programowa instruktorek Z. H. P., na którą stawily się wszystkie chorągwie, prócz wileńskiej — tą ostatnią prawdopodobnie zasypało śniegiem, tak iż nie potrafiła z niego wybrnąć.

Dobra organizacja konferencji, jak również gruntowne przygotowanie materiałów ze strony G. K. Z. oraz chorągwi Wileńskiej, pozwoliły na załatwienie w bardzo krótkim czasie — konferencja obradowała dwa dni — całego szeregu ważnych kwestyj. Do nich należy ustalenie programu dla zuchów, zmiana programu dla prób na wszystkie stopnie, przygotowanie nowego materiału dla pracy starszych dziewcząt w drużynach, ustalenie nowej kategorii instruktorek, wreszcie zapoczątkowanie pracy nad wprowadzeniem w życie wojskowego przysposobienia harcerzek.

Na plenum zamawiano się właśnie tem ostatniem oraz wygłoszono dwa referaty: „Wychowanie instruktorek” przez dhnę Jakubowską na podstawie materiałów, przygotowanych przez instruktorki lwowskie i „O przysposobieniu wojskowym kobiet” przez dhnę Podhorską. Poza tem praca szła w trzech komisjach: zuchów, starszych dziewcząt i instruktorek.

Komisja zuchów. Program dla zuchów przygotował Wydział metodyczno-programowy przy komendzie chorągwi żeńskiej w Wilnie już w zimie 1922 r. Obejmował on: prawo zuchów, przyrzeczenie, próby i sprawności. Po szczegółowej dyskusji Konferencja wprowadziła do projektu szereg zasadniczych zmian. Przyjęto: obietnicę zuchów, prawo, program pracy. W najbliższym czasie mają być opracowane instrukcje do programu i określone warunki na stopień instruktorski zuchów.

Drużyny zuchów mają się nazywać gromadami, zastępy — gromadkami. Każda gromada wybiera sobie godło do noszenia którego wraz z literą „Z” (Zuch) mają prawo dziewczynki, które złożyły obietnicę. Obietnica ma być składana po każdej próbie i będzie brzmiała: „Obiecuję być dobrym zuchem”. Ważne miejsce w pracy z zuchami winna zająć obrzędowość. Ciekawą ilustrację tej obrzędowości dała dhna Maryla Skorupska, referentka projektu wileńskiego, przedstawiając program pierwszej obietnicy zuchów w Kowlu, która miała się odbyć na Trzech Króli. Będzie tam dekoracja polany leśnej, ognisko, dobra wróżka, opowiadająca bajki i rozdająca podarki, a że gromada ma jako godło słonecznik, więc dziewczynki składające przyrzeczenie będą przebrane za słoneczniki.

Komisja starszych dziewcząt. Wydział programowy G. K. Z. przedstawiając projekt, wychodził z założenia, iż materiał w próbach jest nieodpowiednio rozłożony. Tak np. w próbie na III stopień wymaga się zbyt dużej znajomości ideologii, na którą trudno się zdobyć trzynastoletniej dziewczynce, w próbach następnych natomiast wymaga się prawie wyłącznie techniki.

Nowy projekt jest zastosowany do rozwoju psychicznego i rodzajów zainteresowań, jakie budzą się w wieku przewidzianym dla każdej próby, a więc 13—14, 15—16, 17—18 lat. Referowała go dhna Wl. Martynowiczówna.

W wymaganiach na wszystkie stopnie dadzą się rozróżnić następujące działy:

1. Kształcenie charakteru.
2. Służba dla bliźnich.
3. Wyrobie społeczne i organizacyjne.
4. Ćwiczenia praktyczne (techniczne).
5. Przyroda.
6. Wychowanie estetyczne.
7. Wychowanie praktyczne.

Utrzymuje się jak dotychczas trzy stopnie i najwyższy stopień Harcerki Rzeczypospolitej. Próba na trzeci stopień wymaga pełnej sprawności w obserwacji, zaradności, pewnego stopnia uspołecznienia i zrozumienia życia organizacyjnego. Próba na stopień II bierze pod uwagę rozwój zainteresowań i życia uczuciowego, wyrobienie stosunku do bliźnich, Harcerka w okresie tej próby powinna się zapoznać z urokiem życia

obozowego i umieć sobie radzić. Stopień pierwszy przypada na wiek najsilniejszych zainteresowań społecznych. Trzeba się wykazać spełnianiem obowiązków członka społeczeństwa i obywatela, zaprawieniem do pracy społecznej. Harcerka Rzeczypospolitej pogłębiać musi wszystkie wymienione i zdobyte watości. Od niej się wymaga realnej pracy społecznej, orjentowania się w zagadnieniach społecznych i politycznych narodu wreszcie specjalizacji w jakimś określonym kierunku.

Próba musi być wynikiem całorocznej pracy, a nie samego tylko egzaminu.

Wydział programowy przedstawił również projekt sprawności starszych dziewcząt, ujmując je pod kątem widzenia życia społecznego. Harcerka, ubiegająca się o zdobycie jakiejś sprawności, musi wykazać, że praca jej w danym kierunku przyniosła już realne korzyści. A więc są to sprawności: przyrodnicze, etnografiki, miłośniczki zabytków sztuki, i kultury, organizatorski odczytów, organizatorski bibliotek, kooperatyw, pracowniczkich samorządowej 1) państwowej 2) szkolnej, kierowniczkich chorów, ogrodniczki, rolniczkki, Konferencja przyjęła wymienione sprawności bez zmian aczkolwiek są one dość trudne. Potrzebę zmian ujawni praktyka.

Z prób omówiono szerzej tylko stopień I i Harcerkę Rzeczypospolitej, rozszerzając zakres wychowania fizycznego, estetycznego i wiadomości z gospodarstwa domowego. Wyniki będą urzędowo ogłoszone, tymczasem postanowione zacząć niezwłocznie wprowadzanie ich w życie.

Komisja instruktorska. W komisji ukończono dyskusję wygłoszonego na plenum referatu. Postanowiono nie zakładać nowych drużyn bez instruktorki lub drużny, któraby warunkom, stawianym dla instruktorki odpowiadała, na czele. Pewne zmiany w dotychczasowych stosunkach wprowadza projekt G. K. Z. o nowych kategoriach członków czynnych Z. H. P. Podajemy go w skróceniu:

Członkiem Z. H. P. musi być kilkoletnia harcerka, która odznacza się:

1. Wysokim poziomem rozwoju ideowo-etycznego i umysłowego.
2. Zrozumieniem harcerstwa.

Przewiduje się trzy kierunki pracy dla członków czynnych: fach, praca instruktorsko-wychowawcza, oraz administracyjno-organizacyjna.

Wymagania dla działu I: (specjalizacja w jednej z dziedzin pracy harcerskiej):

1. Osobiste przygotowanie fachowe.
2. Praktyka w danej dziedzinie na terenie harcerstwa.
3. Ułożenie planu pracy w danym zakresie na dłuższy przeciąg czasu.

Wymagania dla działu II:

1. Uzdolnienie i wyrobienie organizacyjne.
2. Wykazanie się praktycznym zorganizowaniem jednej z placówek harcerskich,
3. Przedstawienie planu zorganizowania jednej z placówek harcerskich.

Wymagania dla działu III:

1. Uzdolnienie i wyrobienie organizacyjne.
2. Uzdolnienie i zainteresowanie wychowawcze.
3. Znajomość metod harcerskich.
4. Pogłębianie jednej z dziedzin życia harcerskiego.
5. Próbę I. stopnia.
6. Wykazanie się praktyką w drużynie.

Projekt powyższy został przez konferencję przyjęty.

Sprawę przysposobienia wojskowego harcerzek zamawiano się obszernie na plenum, wykluczona została dla kobiet służba frontowa, a nawet wartownicza i przysposobienie obejmuje służbę sanitarną, gospodarczą, oświatową, kancelaryjną, i służbę łączności. Drużyny nie mogłyby sobie same z tem dać rady, dla zdobycia zatem odpowiedzialnej siły wykwalifikowanej, powinna każda chorągiew wysłać conajmniej jedną harcerkę na kurs dla instruktorek przysposobienia wojskowego, który odbędzie się latem.

Takim już mniej więcej ogólny wynik konferencji. Należy przypuszczać, iż wywoła on znowu zainteresowanie się drużynami wśród starszych dziewcząt, dla których otwiera się szerokie pole pracy. Przyszłe konferencje postanowiono odbywać zawsze latem, w formie obozów, conajmniej 10 dniowych. Następną ma się odbyć nad Trockiem jeziorem.

Harcerskie Echa.

Dotychczas zaledwie kilka przesłano odpowiedzi. To mało! Bardzo mało! Nie tracimy jednak nadziei, że i ten kącik „Czuj Ducha” wkrótce się ożywi. Dlatego czekając na dalsze Wasze liściki, na dłuższe omówienia trzech pierwszych pytań, stawiamy Wam ufnie dwa nowe:

4. Czy ruch spółdzielczy wśród drużyn harcerskich jest dostatecznie rozwijany?

5. Jak najlepiej przeprowadzić w praktyce sprawę oszczędności wymaganej przy próbach na stopnie harcerskie?

Namyśl się! Pomów z druhami! Potem kropnij nam trafną odpowiedź, choćby na jedno z tych pytań. Anajlepiej na wszystkie! Wdzięczni najlepsze umieścimy.

Obrazki z życia harcerskiego.

Konkurs na obrazki z życia harcerskiego powitałście Druhowie bardzo serdecznie i ochoczo. Świadczą o tem liczne Wasze listy i kilkanaście obrazków już do redakcji przesłanych. Czekamy na dalsze. Na coraz barwniejsze, pogodniejsze, piękniejsze. Chcemy mieć spory ich zapas na całe lato i na zimę. Oczywiście! Im więcej i ładniejszych, tem lepiej. Dlatego termin przedłużamy.

do 1. kwietnia 1924 r.

Na sędziów prosimy przedewszystkiem Was, nasi drodzy Czytelnicy.

Z nadsyłanych obrazków będziemy ogłaszali co miesiąc przynajmniej dwa: „najlepsze”! W styczniowym numerze macie gawędy Kociołka i Wieloryba. W lutym pójdą nowe obrazki.

Napiszcie co o nich sądzicie.

Podczas Zlotu Narodowego wręczymy zwycięzcom nagrody. Prócz książek Vernego i Kossaka mamy już i nowe dla nich podarki. Powiemy Wam o tem dokładniej w następnym numerze. Tymczasem twórzcie! spisujcie gawędy! nadsyłajcie!

Chodzi o pośpiech.

Wszak do Zlotu wyjdzie jeszcze tylko 5 numerów „Czuj Ducha”. W każdym, powiedzmy, dwa obrazki staną do zawodów. Z obecnymi będzie ich więc dwanaście. Postaraj się Druhno! Postaraj się Druhu! Niech wśród wybranych i ogłoszonych będą Twoje gawędy. Niech właśnie Twoje zbiorą najwięcej pochwał i najcenniejszą nagrodę. Z jakąż radością wręczymy wtedy Tobie laureacie „Czuj Ducha”

na Zlocie

upominek konkursowy.

Ś. p. ksiądz Kazimierz Lutosławski,

harcercz, zmarł po krótkiej chorobie. Dzięki swym wielkim zaletom umysłu i serca zajmował w życiu społecznym wybitne stanowisko. Służbę dla Rzeczypospolitej uważał za swój największy i najświętszy obowiązek i nakaz sumienia. To też, czy to jako poseł na Sejm, czy jako kapłan, czy dalej jako pracownik na niwie społecznej, wszędzie działał wytrwale, głosząc głębokie umiłowanie Sprawy.

W pracach, w których Zmarły brał udział, wiele znajdujemy poświęconych młodzieży a zwłaszcza Harcerstwu Polskiemu. Od samych początków ruchu harcerskiego w Polsce, znajdujemy Go wśród tych, który nie bacząc na trudności i przeciwności, kładłi głębokie podwaliny pod obecny gmach Związku Harcerstwa Polskiego. Jego pióra są: śpiewnik harcerski i dwa podręczniki harcerskie, z których jeden dotyczący ideologii drugi omawia technikę i metody kursów i obozów skautowych. Nie tylko znaleźmy ks. Zawadę (pseudonim harcerski Zmarłego) jako autora książek Harcerskich, ale również jako kierownika: organizatora.

W wolnej Polsce ś. p. ks. K. L. odsuwa się od roboty harcerskiej idąc tam, dokąd go wołał obowiązek obywatela kraju — do pracy nad tworzeniem Państwa Polskiego — do pracy w Sejmie Polskim. (Na nowym terenie działalności zawsze wierny jest szczytnym ideałom harcerza.)

Cześć Jego pamięci!

PRENUMERATA kwartalnie z przesyłką pocztową mk. 110000.

Numer pojedynczy mk. 400000.

Ceny ustalamy 2 razy miesięcznie. Prenumeraty wpłacone po 5 lutym traktować będziemy jako sumy wpłacone à conto.

WPŁATY

uskutecznić można wprost w Administracji, lub na konto czekowe P. K. O. Nr. 203662.

Adres redakcji i administracji: Poznań, Zamek.

Kierownik Redakcji: Dr. Stefan Papée. Redaktor odpowiedzialny: Stefan Adam Schmidt. Wydawca: Zarząd Oddziału Wielkop. Zw. Harc. Polsk. w osobie: Zbigniewa Kowalewskiego. Czcionkami Drukarni Uniwersytetu Poznańskiego.

GEBETHNER i WOLFF KSIĘGARNIA i SKŁAD NUT

W POZNANIU UL. FR. RATAJCZAKA 36

POLECAJĄ NOWOŚCI GWIAZDKOWE 1923

Chodźko Ignacy. Pamiętnik Kwestarza. Wydanie skrócone w pracowni J. Grabowskiego. Z ilustracjami E. M. Andriollego. Broszurowane 6,50. Karton 8,—
Gomulicki Wiktor. Wspomnienia niebieskiego mundurka. Wydanie 4-te. Z 6 ilustr. K. Górskiego. Karton 6,—
Moszczowa Michałina. Za tysiąc lat. (Z marzeń młodego idealisty). Powieść fantastyczna z 15 ilustracjami W. Szyndlera. Karton 5,—
Umiński Władysław. Balonem do bieguna. Przygody z podróży powietrznej ponad lodami. Z 6 ilustracjami W. Szyndlera. Wydanie 3-e zmienione. Karton 5,50
— Na falach Atlantyku. Przygody roz-

bitków pośród oceanu z 5 ilustracjami. E. Bartłomiejczyka. Wydanie 2-e Karton 4,50
— Od Warszawy do Ojcowa. Przygody w podróży po kraju. Z 11 ilustracjami Z. Grabowskiego. Wydanie 3-e popraw. przez autora Karton 6,50
Włodkówna Bronisława. Przeciw zlej doli. Opowiadanie dla młodzieży. Z 4 ilustr. Z. Bleszyńskiej. Brosz. 1,50 Karton 2,50
Amicis E. Serce. przekład M. Konopnickiej Karton 4,40
Anczyce Wł. L. Przygody prawdziwe żeglarzy i podróżników. Karton 5,—
— Robinzon Kruzoe Karton 4,40
Barszczewski St. W osiem dni dokoła świata 5,—
Janowski Al. Maciuś Pędrak wśród Indjan Kart. 6,—

Sienkiewicz, H. Ogniem i mieczem. 8,—
— Potop. 13,40
— Pan Wołodyjowski 5,40
całość w ozdobnej oprawie 39,—
— W pustyni i w puszczy 6,—
Umiński W. Na drugą planetę 4,20
" " Synowie puszczy 3,75
" " W podobioicznych Krainach 5,80
" " W puszczech Kanady 4,20
" " Znojny chleb 5,—
" " Zwycięzcy oceanu 5,80
Verne J. 20,000 mil podmorskiej żeglugi 5,—
" " Dzieci Kapitana Granta 5,60
" " Wyspa tajemnicza 5,—
" " Skarby Wulkanu 6,50
" " W pogoni za meteorom 3,60
Zaleska M. J. Młody wygnaniec 4,20

Ceny zasadnicze. Obowiązuje bieżący mnożnik. Do cen katalogowych dolicza się 20% dodatku sortymentowego.